



Nr. 2.

9-go Stycznia

1913.

Dożywocie Berka Klugerkopfa.

Żył sobie taki biedny żydek, nazwiskiem Berek Klugerkopf, który mieszkał w takim bogatym mieście, jak Rypin albo Lipno.

Całym majątkiem Berka było to, co miał na sobie przykryte starym, dziurawym, ale atlasowym i ładnie jeszcze błyszczącym chałatem. Prawda! Miał Berek także torbę, taką wielką torbę żydowską, gdzie nosił księgi pełne mądrości i to, co mu współwyznawcy ofiarowywali przez pamięć na zasługi jego przodków.

Żydzi mówią, że każde miasto posiada swoich uczonych i swoich waryatów — do jakiej kategorii zaliczali Berka, trudno było wymiarkować: jedni twierdzili, że Berek Klugerkopf to światły mąż, umiejący biegle czytać i pisać w mowie świętej — inni nazywali go „pomieszanym“.

Ten ostatni pogląd miał o Berku sam rabin, który od czasu do czasu dawał mu jako swemu kuzynowi, jakiegoś zajęcie, a nawet chciał dla niego wynaleźć jakie skromne, ale dożywotnie źródło utrzymania, w czym pomagał rabinowi innemu kuzyn Berka, Salomon Filozof, stary i nabożny żyd, fabrykant trunków szumiących.

Tymczasem, żeby Berek Klugerkopf nie zgłupiał do reszty bez zajęcia, zrobili go melamedem, takim krzewicielem oświaty, ale, że dzieci żydowskie bały go się jak złego szatana i gorzkim zanosili się płaczem, ilekroć Berek przy pomocy kija rozpoczynał swoje wykłady, przeto ojcowie i matki nie chcieli powierzać swoich bachurków zwaryowanemu melamedowi.

Rabin więc często wzdychał:

— Ja mam gorzkie zmartwienie z tym pomieszzanym.

Salomon także wzdychał:

— Wa mir! Co mnie ten uczony kuzyn zdrowia kosztuje!

A Berek Klugerkopf wzruszał ramionami i dziwił się, czego ten cały światek żydowski chce od niego i często głodny rozczytywał się chciwie w

księgach pełnych mądrości i marzył o ziemi świętej, gdzie rosną daktyle i chleb świętojański.

Pewnego dnia zaczął Berka Szmul Łapserdak, piekarz z zawodu i spytał go poważnie:

— Berek, z czego ty żyjesz?

Krzewiciel oświaty uśmiechnął się gorzko i odpowiedział szczerze:

— Bo ja wiem?

— Możebyś ty mi szyld wymalował?

— Dlaczego nie? Malowałem rabinowi drzwi i okna, Salomonowi podłogę, to mogę tobie teraz szyld malować.

— Ale widzisz, — mówił piekarz, — ja swego interesu jawnie prowadzić nie mogę, bo mi na to policja nie pozwala, musiałbyś więc zrobić coś takiego, co by dużo mówiło, a całkiem nic nie było...

— Zrobię, dlaczego nie mam zrobić? Tylko nie mam farby, ani blachy...

— Ja ci to wszystko dostarczę, a oprócz tego osobno jeszcze wynagrodzę!

Stało się.

Berek Klugerkopf wymalował Szmulowi taki szyld, że wszyscy gęby pootwierali.

Szyld ten umieścił Szmul Łapserdak nad swoim sklepikiem spożywczym, utrzymanym w suterenie, do której prowadziło wejście od ulicy.

Sam rabin oglądał dzieło Berka, kiwał głową i podziwiał olbrzymi bochen chleba, namalowany w kształcie robaka z rogami, trzymającego pod sobą barwną wstęgę z napisem: „Hlipolski“.

Pewien ciekawski zaczął nawet wprost o to Szmula.

— Pan tego nie rozumie? — spytał żyd, mrużąc oko.

— Nic a nic....

— A co tam stoi napisano?

— Hlipolski...

— Właśnie, — potwierdził Szmul i dodał z głupia frant: — Pan nigdy nie widział bochenka chleba?

— Aaa! Więc to ma być „chleb polski“.

— Wrażnie tak stoi!

Ciekawski parsknął śmiechem i poszedł dalej, a Szmul tryumfująco spoglądał za nim i też się uśmiechnął.

Piekarnia chleba polskiego urządzona była ze sklepieniem spożywczym, w brudnej i ciasnej norze piwniczej, a raczej gnieździe robactwa, rozjaśnionem dyskretnie przez wiecznie kopcającą się lampę.

Warsztat ten prowadził Szmul sekretnie, z pomocą rodziny, mieszkającej tuż obok piekarni.

Rodzinę liczną, którą stróż domu Walenty stale nazywał „mrowiem żydowskim”, tworzyli: Szmul Łapserdak z żoną Łają i ośmiorgiem dzieci, Aron Łapserdak, ojciec Szmula, popularnie zwany „dziadkiem”, dwie siostry Szmulowej, obie wdowy z kilkorgiem dzieci po handlarzach podwórzowych, panie: Dwojra Plaster, nokatna piekarka, i Brajndla Pyskata, zajmująca się sprzedażą w sklepiku spożywczym Szmulów.

Całe to „mrowie” z wyjątkiem cioci Brajndli i chorego na świerzbę dziadka Arona, trudniło się wypiekiem chleba polskiego, bułek, rogalów, zalcek i obwarzanków.

Chorego dziadka zapędzano do roboty w czasach przedświątecznych, gdy popyt na pieczywo się wzmagał.

Dziadzio Aron przesiewał wtedy mąkę pszeniczną jedną ręką, a drugą się drapał, albo ściagał z przetaka mąkę i chował ją po kątach, na okłady, skuteczne podobno, według twierdzenia cioci Dwojry, na brzydkie swędzenie ciała.

Cioci Brajndli dlatego powierzono prowadzenie interesu w sklepiku, gdyż ona jedna umiała dobrze się wygadać i załagodzić niejeden spór z konsumentami chleba polskiego, mającymi nieraz, jak mawiała „dżykie pretensye”.

Wpadł naprzykład do sklepu taki Antek Klawisz, macha pięścią i woła:

— Zgadnij, ciotko Szmulów, co ja tu w garści mam?

— Skąd ja mogę wiedzieć?

— Powróż...

— To się na nim powieś...

— Was, żydy niechrzczone trzeba powywie-
szać....

— Idź do diabła!

— Poco mam chodzić tak daleko? Ja ino skoknę do ratusza i dam znać o waszych dodatkach nadzwyczajnych... Zobaczycie, jak wam pan burmistrz skórę opieczkuje... On to lubi!

— Daj pan spokój, panie Antoni i powiedz pan od razu, czego pan odemnie chce? — zmieniła ton żydówka.

— Świeży bochenek chleba, kawałek sera, bułkę piwa owsianego i paczkę papierosów — oświadczył Antek.

— Wa mir! Z tego może być cały bał!

— A właśnie dziś są imieniny mojej babki...

— Ny, — westchnęła żydówka. — Daj pan ten powróż, to ja się lepiej na nim od razu powieszę... Pan Antoni chce mnie zgubić i zniszczyć cały kram... Powiedz pan — jękła płaczliwie. — Czy to tak po katolicku robią?

— Więc ja mam być stratny? — zmieknął Antoni. — Przecież ten powróż najmniej pół funta waży!

— To ja dam panu Antoniemu za niego cały funt chleba i jednego papierosa... Zgoda?

— Niech będzie zgoda! — machnął Antek ręką.

Po wyjściu Antka, Brajndla zwołała Szmula i wspólnie obejrzel fatalny dodatek.

— To wcale nie mój powróż — oświadczył stanowczo Szmul.

— To mnie ten złodziej... rabuśnik oszukał! — krzyknęła Brajndla.

— Szał szal! — uspokajał ją Szmul. — Całkiem pewny nie jestem, spytam się ciotki Dwojry.

— Niech szwagier nie kręci — wybuchnęła złością Brajndlowa. — Wczoraj zrobili mi awanturę o skorupy, dziś powróż przynieśli... Trzeba uważać, co się piecze! Stróż Walenty też za często żąda na wódkę, powiada, że go pali po naszym chlebie....

— Ze stróżem trzeba wychodzić politycznie, on wie, że mi potrzebny jest i dlatego czuje w gardle wciąż takie palenie.

Wyroby Szmula rozchodziły się głównie między ludnością chrześcijańską w mieście i na wsiach zamieszkałą, bo żydzi mniej byli łapczywi na to pieczywo, zwłaszcza gdy Berek Klugerkopf, autor szyldu, w darowanym sobie przez Szmula chlebie zrobił odkrycie, które mocno go przestraszyło.

Krzewiciel oświaty siedział właśnie nad szklanką piwa owsianego, jakie co wieczór otrzymywał na kolację w domu kuzyna swego Salomona, już rozłamał chleb przyniesiony z sobą, gdy nagle wypuścił pieczywo z ręki i wrzasnął przerażony:

— Giewalt!

— Szraj nisz, — zgromił go Salomon, studiujący wówczas jakąś książkę nabożną.

— Reb Salomon, reb Salomon! — wyjąkał Berek.

— Czego?

— Tu, w tym chlebie od Szmula coś jest!...

Salomon zbadał ostrożnie zawartość bochenka, pokiwał głową i rzekł uroczyście:

— Tu jest karaluch!

— Karaluch!

Salomon spojrzał w głupią i wystraszoną twarz Berka i spytał zdziwiony:

— Nie wiesz, co to jest karaluch?

Krzewiciel oświaty przymknął oczy, pomyślał chwilę i odrzekł:

— Karaluch, to jest taki... karaluch.

Zawiązała się wnet dysputa uczona.

— Powiedz mi, kochanku, czy karaluch koszerne jest? — spytał Salomon, chcąc zbadać za-
sób wiedzy melameda.

— Ja nie wiem, — przyznał się Berek.

— Wszystkie robaki trefne są, więc i karaluch.

— A owady? — rzucił pytanie krzewiciel oświaty, pewny, że Salomonowi zrobi tem przyjemność.

Filozof pogładził brodę i rzekł z ożywieniem:

— Z owadów te tylko koszerne są, które u nóg mają przedłużone ścięgna, służące do skakania.

— To i pchła też jest koszerne? — zdziwił się Berek.

Salomon spojrzał na krzewiciela oświaty wzrokiem pełnym pogardy i rzekł z naciskiem:

— Berek, ty jeszcze głupszy jesteś, niż ja myślałem, ale, że głupiemu często szczęście samo wpada do ręki, więc zabierz ten bochenek chleba i chodź ze mną do rabina... On postanowi, co ze Szmula karaluchem zrobić.

Rabin ukarał Szmula.

Kazał mu przez sześć tygodni dawać codziennie bochenek chleba świeżego, z tem jednak zastrzeżeniem, że jeżeli w pieczywie Szmula przez

ten czas znajdują się znowu jakie nadzwyczajne dodatki, to kara ta zaczyna się od początku.

Mądry wyrok rabina stał się dla Berka Klugerkopla — dożywociem.



TYLKO.

Lekarz: Stan pańskiej choroby od wczorajszego dnia niestety pogorszył się. Pan się niezawodnie nie zastosowałeś do mojej rady i musiałeś się czemś wzruszyć, panie Adamie, albo też mimo mego zakazu czytałeś.

Pacjent: Tylko pański rachunek, panie doktorze, wczoraj odebrany.



NIEMDZIECZNOŚĆ.

— Ostatnie pieniądze, jakie miałem, wydałem na to, aby syn mój mógł ukończyć medycynę i zostać doktorem. Teraz, gdy go wezwałem do siebie, on mi się odwdzięczył w ten sposób, że zakazał mi pić piwo. Ot, — wdzięczność synowska!



W SALONIE.

A.: Które piwo zdaniem pana lepsze, białe czy czarne?

B.: Daj mi pan pokój z tem czarnem piwem. Wypilem przedwczoraj ośm butelek białego i było mi bardzo dobrze, a zaraz potem wypilem sześć butelek czarnego i powiadam panu, tak mi się paskudnie zrobiło, że aż fe.



ALBO, ALBO.

Panna: Przed naszym domem stoi od pół godziny młody człowiek z którym wczoraj tańczyłam, i twarz jego znamiętuje wahanie. Ciekawa jestem czy uda się na pierwsze piętro do dentysty, czy też do naszego mieszkania by się oświadczyć o moją rękę.



CIEKAWOŚĆ.

Zosia: Mamusiu, jak się nazywa ten mały brzośzek, którego nam bocian przyniósł?

Matka: Nie wiem jeszcze moja droga.

Zosia (zamyślona): Tak? A skąd bocian wiedział, że on do nas należy.



niezawodna rada dla szukających szczęścia w loteryi.

Gdy chcesz bracie, by numera na loteryę wyszły, By w twem życiu choć raz jeden gwiazdy szczęścia błysły,

Słuchaj rady przyjaciela — a gdy tak postąpisz, To jej pewnie innym bliźnim nie poskąpisz: Polknij kartkę z numerami — chociaż to nie miło, Wyjdą wszystkie, — choćby nawet ciagnienia nie było...



U ŻYDA HANDLARZA.

— Ależ to jest mój wóz, co mi go skradziono.

— Ny, daj pani dobrodziej spokój! To nie jest prawda... Zresztą, jak pan jemu może poznać, kiedy ja jego przemałowałam na zielono?



TO DZIWNA.

— Mój panie, oszukałeś mnie niegodziwie w koniu, którego mi sprzedałeś.

— Jakto?

— A no zaledwie kilka dni, jak go kupilem i już zdechl bestya!

— No, to dziwne, bo u mnie tego nigdy nie robił



W KUCHNI.

— To jednak ciekawe, moja Kasiu, gdzie po dziewiają się wszystkie resztki pieczeni...

— Ach! Pani chyba nigdy nie kochała!...



Wyniesienie „chorego człowieka”.

„Chorym człowiekiem” nazywano Turcyę już od lat kilkudziesięciu I oto zebrały się narody bałkańskie, aby „chorego człowieka wynieść precz z Europy; przedstawiciele zaś państw europejskich idą żałośni za tym pochodem.

NIEZAWODNY ZEGAR.

Kiedy do domu na noc wraca mąż,
A straszną minę zachowuje wciąż,
Gdy tchnie srogością każdy jego gest
— Dziesiąta jest!

Kiedy słodyczą nowrót jego tchnie
I na dobranoc żonie całus śle,
I mówi słodko: „droga — oczka zmruż!”
— To północ już!

Lecz gdy się skromnie skrada niby koń
I w łóżko cicho pakuje się w lot,
Drżąc, by nie wyszedł z żony srogiej łask...
— Już ranny brzask!

—★—

DEFINICJA.

Nauczyciel: Co rozumiemy pod tem wyrażeniem: mowa macierzysta?

Jaś: To, że ojcu w domu nie wolno nawet gęby otworzyć!

—★—



Młody rok 1913: — Życzę światu pokoju!
Bożek wojny: — Śmieszny jesteś, mój malcze.

PRZED OBIADEM PROSZONYM.

Żona: Słuchaj, mężusiu, trzeba przy stole posadzić Grędkiewicza i Dykalskiego jednego naprzeciw drugiego.

Mąż: W jakim celu, moje serce?

Żona: Zaczną zaraz rozprawiać o polityce, będą się klócić, a wtedy prawie nic nie jedzą.

—★—

NA POLOWANIU.

— Patrzcie sąsiad, nasz młody, doktorek postrzelił już trzeciego naganiacza.

— Nic dziwnego, on sobie w ten sposób pacjentów przygotowuje.

—★—

STRASZNA KARA.

— Czy ty nie wiesz, jaka jest u nas kara za dwużeństwo?

— Jak wszędzie — dwie teściowe...

—★—

CHCIAŁBY WIEDZIEĆ.

— Czego chcecie, kto jesteście?

— Jestem biedny stolarz bez roboty. Chciałem się tylko zapytać, czyby nie można wziąć panu dobrodziejowi miary... na trumnę!

—★—

ROZCZAROWANIE.

Jasio (widząc, że matka obcina ojcu nożyczkami włosy, zapytuje): Mamo, czy mogę wziąć sobie włosy tatusia?

Matka: Oczywiście, oczywiście, drogie dziecko! — odpowiada matka i zwracając się do męża, rzecze:

— Popatrzno kochany, jak dobre serce ma ten Jasio. Taki mały, a już umie ocenić twe włosy i chowa je na pamiątkę.

Jasio: Ależ, mamo, ja chcę z tych włosów zrobić ogon dla mego konika.

—★—

WIĘCEJ NATURALNIE.

Fotograf: Grupa miałaby o wiele naturalniejszy wygląd, gdyby pański syn położył rękę na pańskie ramię.

Ojciec: Jeszcze więcej naturalnem byłoby, gdyby miał rękę w mej kieszeni.

